



*...pierzchliwymi
myślący krokami...*

*...pierzchliwymi
myślący krokami...*

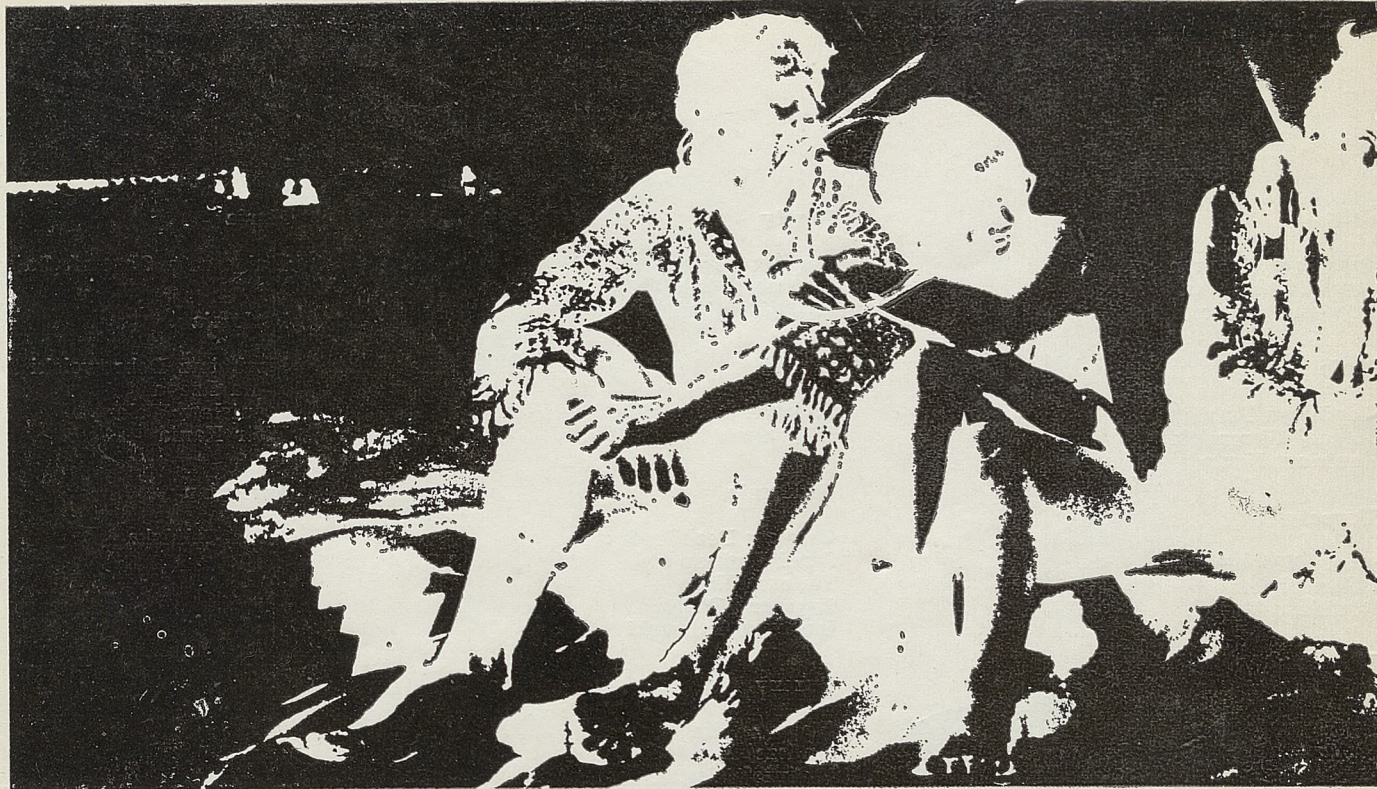
Wieczór do muzyki

<i>JANA SEBASTIANA BACHA</i>	UWERTURA, ARIA NA STRUNIE G
<i>FRANCISZKA SCHUBERTA</i>	NIEDOKOŃCZONA SYMFONIA
<i>KAROLA SZYMANOWSKIEGO</i>	MANDRAGORA

**kierownctwo muzyczne
KRZYSZTOF MISSONA**

**reżyseria i choreografia
TOMASZ GOŁĘBIEWSKI**

**scenografia
ANNA SEKUŁA**



**1. JAN SEBASTIAN BACH
UWERTURA, ARIA NA STRUNIE G**

ORKIESTRA KTM

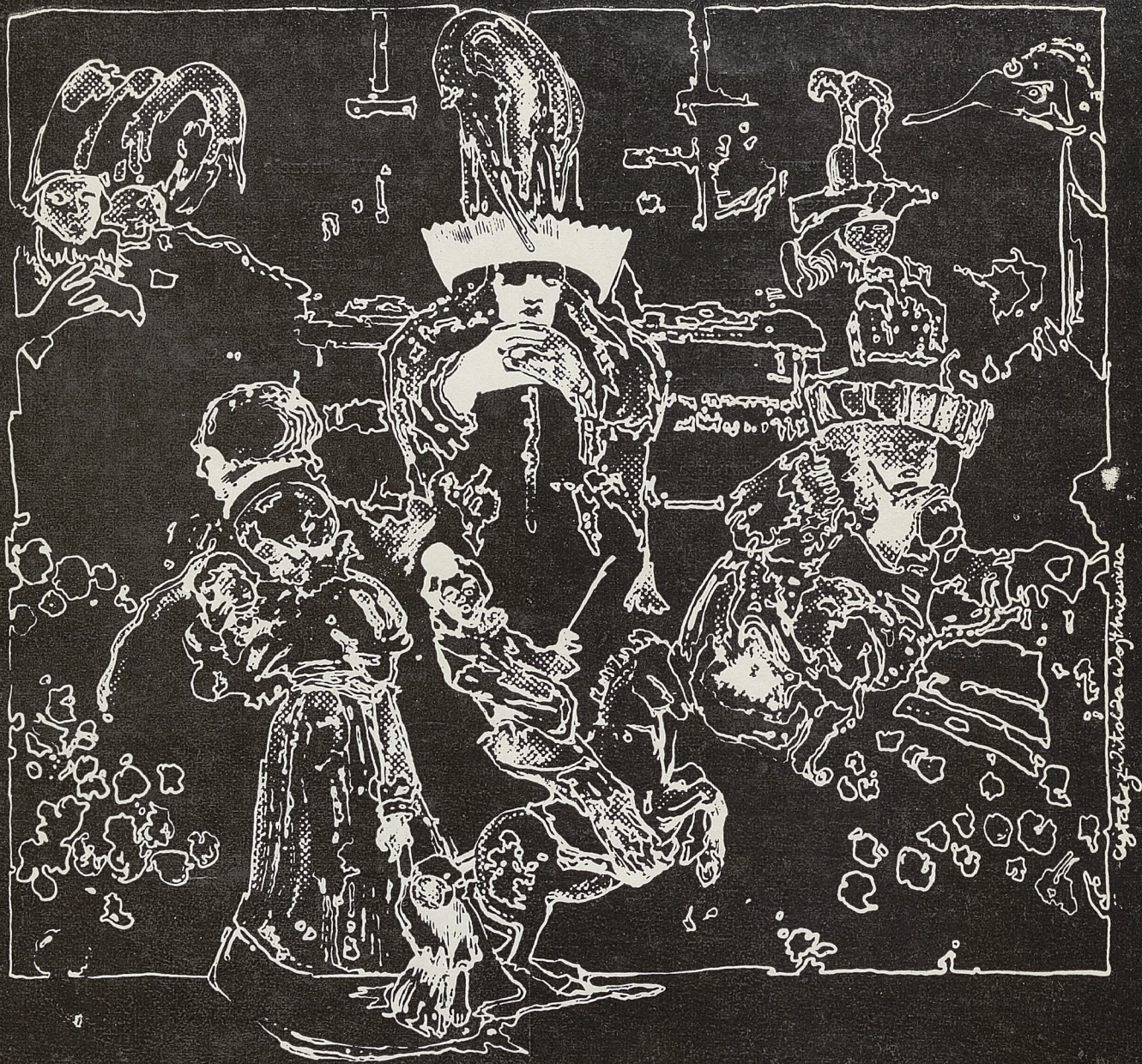
Tańczy

**GRAŻYNA KARAŚ
JOANNA ANDZIAK**

**ALINA TOWARNICKA
JOANNA ANDZIAK
ALICJA NIWELT
TOMASZ GOŁĘBIOWSKI
LECH DRUCH
MIECZYŚLAW BANET
STANISŁAW URBANIK
JÓZEF KIELJAN**

**3. FRANCISZEK SCHUBERT
NIEDOKOŃCZONA SYMFONIA**

**BARBARA GATTY
MAŁGORZATA MAZUR
ALEKSANDRA RÓG
GRAŻYNA KARAŚ
MAŁGORZATA URANEK
ILONA DWORSKA
ANNA BIL
EWA LIS**



cytaty z piosenki w tym miejscu

Inspicjent ANNA JAWORSKA



2. KAROL SZYMANOWSKI MANDRAGORA

Arlekin I KAZIMIERZ RÓŻEWICZ
Arlekin II JACEK SULIGA
Kapitan JACEK HECZKO
Doktor WŁODZIMIERZ APOSTOLSKI
Królowa KRYSTYNA UNGEHEUER
Król EDWARD SZPOTAŃSKI
Jourdain JÓZEF KIELJAN
Colombina BARBARA KAŁUŻNA
BARBARA GATTY
Papuga GRAŻYNA KARAŚ
Eunuch WŁADYSŁAW SZŁĘK

Komedianci

JANINA GAWLIK
ZOFIA WILKOŃ
MAREK FIMA
STANISŁAW URBANIK
ADAM PIETRZYK
JAN PORADA
KRZYSZTOF OCHOŃSKI
RAFAŁ MRÓZ

Kierownictwo baletu
Tomasz Gołębiowski
Inspektor baletu
Józef Kieljan



I skrzypce

Janusz Miryński — koncertmistrz
Leszek Skrobacki
Erwin Sitek
Teresa Szarek
Stanisław Moskal
Stefan Stolarczyk
Anna Klimczyk
Jan Wojcieszek
Jacek Kaliński
Aleksander Opaska

II skrzypce

Benedykt Szymura — koncertmistrz
Anna Burzyńska
Zbigniew Uliasz
Jan Malik
Ewa Tosik
Marek Mnich
Henryk Olejniczak

Altówki

Mieczysław Satora
Aleksandra Senisson
Zofia Boklak
Emilian Szczygieł
Tadeusz Kostecki
Krystyna Sterkowicz

Wiolonczele

Barbara Wrońska
Ryszard Sterkowicz
Krystyna Radwanek
Danuta Pudło

Kontrabasy

Ryszard Węgrzyn
Marek Mackiewicz
Piotr Mazur
Wiesław Grela

Flety

Stanisław Węgrzyn
Danuta Bińczycka
Bronisław Zajac

Oboje

Magdalena Paździor
Andrzej Piszczelok
Stanisław Korta

Klarnety

Ignacy Wyczyński
Stefan Siwiec
Stanisław Orczyk

Fagoty

Damian Gryboś
Eugeniusz Studnicki
Henryk Urbański

Trąbki

Tadeusz Jodłowski
Magdalena Starzycka

Waltornie

Czesław Peciulewicz
Józef Wróbel
Tadeusz Noga
Zygmunt Firlit
Ireneusz Gajewski

Puzony

Maksymilian Grobosz
Andrzej Bigć
Andrzej Wsołek

Harfa

Małgorzata Skoczeń-Gajewska

Perkusja

Kazimierz Dobrowolski
Anna Rzepa
Stanisław Welanyk
Piotr Kania

Fortepian

Irena Celińska



Inspektor orkiestry

JAN WOJCIESZEK

Zespół Techniczny

Kierownik
Mieczysław Stano
Z-ca Kierownika
Zbigniew Tyński
Brygadier sceny
Wiesław Kutyla
Kier. Prac. Scenotechnicznej
Franciszek Freń
Kier. Prac. Kraw. Damskiej
Alicja Tekieła
Zofia Ziemińska
Kier. Prac. Kraw. Męskiej
Tadeusz Drozda
Franciszek Musiał
Kier. Prac. Perukarskiej
Czesława Gwizdała
Kostiumy
Pracownice KTM
Fryzury
Zespół fryzjerski KTM
Nakrycia głowy
Halina Pazderska
Obuwie
Sp-nia Gromada
Prac. modelatorska
Wojciech Stępniewski
Marian Pasławski
Światło
Eugeniusz Wiecheć
Akustyka
Zbigniew Janik

Koordynacja Pracy Artystycznej
Celina Karpińska
Redakcja Programu
Józef Opalski
Współpraca
Anna Śledzińska
Ilustracje — Mściwoj Olewicz
z cytatem Witolda Wojtkiewicza

KRAKOWSKI TEATR MUZYCZNY



DYREKTOR I KIEROWNIK ARTYSTYCZNY

Wynik Chissan

Z-ca Dyrektora:
WIKTOR HERZIG

Kierownik literacki:
JÓZEF OPALSKI

Cena zł 10.—

**I Schubert gdy na wodzie, Mozart w ptasiej gamie,
I Goethe, gdy gwiżdżący na mych ścieżkach blisko;
I Hamlet, pierzchliwymi myślący krokami,
Liczą pulsy mrowiska, bo wierzą mrowisku.
Nim były wargi, szept się zrodził w niebie,
W bezdrzewnym czasie liście wirowały,
Do mych doświadczeń dodawali siebie,
Ludzie, dla których doświadczałem.**

OSIP MANDELSZTAM

przeł. Jarosław Marek Rymkiewicz



cytaty: Rytalca Wojmiera

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

WIELKANOC

JANA SEBASTIANA BACHA

Rodzina wyjechała do Hagen
Sam zostałem w tym ogromnym domu.
Po galeriach krokami dudnię.

Bardzo śmieszą mnie te złocenia
i te pelikany rzeźbione jak od niechcenia.
i te chmury mknące na południe.

Ja bardzo lubię chmury. I światła pochmurne.
Jak fortece. Jak moje fugi poczwórne.

Cóż to za rozkosz błądzić przez pokoje
z Panią Muzyką we dwoje!
Jak las jesienny świece w lichtarzach czerwone.

A dzisiaj jest Wielkanoc. Dzwon rozmawia z dzwonem.
O, wesołe jest serce moje!

W starych szufladach są stare listy,
a w książkach zasuszone kwiaty;
jak to miło plądrować wśród starych papierów...
O, świąteczne godziny pełne złotych szmerów!
o, natchnienia jak kolumny złote! o, kantaty!

Ubrany w zielony aksamit
brodę, błądę tymi pokojami,
i po galeriach, i po schodach;
o, jeszcze tyle, tyle do wieczora godzin,
żeby mruczeć, żeby nuć, żeby chodzić,
żeby płynąć jak zaczarowana woda!

Ciemne jak noc portrety witają mnie w salach,
jeszcze barlziej ciemniejąc, kiedy się oddalam.

To śmieszne, że niektórzy nazwali mnie mistrzem,
mówią, że w mych kantatach zamknąłem niebiosą.

Szkoda, że tu nie wszyscy znacie mego kosa,
ach, jakże ten kos śpiewa, jakże ten ptak gwiżdże,
jemu wiele zawdzięczam. No i wielkim chmurom.
I wielkim rzekom. I piersiom twoim, Naturo.

Spójrzcie na te niebieskie hiacynty,
na te krzesła z czarnego drzewa,
na te wszystkie złożone sprzęty,
na tę klatkę z papugami, która śpiewa,
na te obłoki jak srebrne okręty,
które wiatr południowy podwiewa.
Tak. Spójrzcie. To jest moje mieszkanie.
Też wspomnienie po Janie Sebastianie.

Mówią, że jestem stary. Jak rzeka.
Że czas coraz bardziej z rąk mi ucieka.
To prawda, że mi wiele godzin przepadło.
Ale to nic. Do diabła! Ja gram na mocnych strunach
i są jeszcze kantaty moje, do pioruna!
Nie czas mnie, ale ja go wzięłem na kowadło.

Zaraz przyjdzie rodzina i zaczną się uczyć.
Córy moje, nim siada, przejrzą się do lustra.
I chmara gości ściągnie. I nastąpi taniec.
Podjedzą sobie setnie i podpisują dobrze.
I pasterz z gobelinu też huknie na kobzie.
A potem wieczór przyjdzie. I zniknę w altanie.
Bo lepsza od mych skrzypiec, gdy grywał w Weimarze,
niżli perły, o których dla mej żony marzę,

niż sonaty mych synów, niż wszystkie marzenia,
taka chwila wielkiego, wielkiego wytchnienia,

właśnie teraz, gdy widzę przez altany szparę
rzecz niezwykłą, zawrotną, szaloną nadmiarem:
WIOSENNE GWIAZDZISTE NIEBO.

Franciszek Schubert

MÓJ SEN

Byłem bratem wielu braci i siostr. Nasz ojciec i matka byli dobrzy. Odnosiłem się do wszystkich z głęboką miłością. Pewnego razu poprowadził nas ojciec w miejsce przeznaczone dla rozrywek. Wówczas bracia bardzo poweselili. Ja jednak byłem smutny. Wtedy podszedł do mnie ojciec i rozkazał mi, bym skosztował drogich potraw. Nie mogłem jednak tego uczynić i rozgniewany ojciec wypędził mnie sprzed swego oblicza. Odszedłem więc i — z sercem przepełnionym miłością do tych, którzy ją odtrącili — wędrowałem przez obce strony. Przez długie lata czułem, jak rozdzierał mnie największy ból i największa miłość. Wtedy doszła do mnie wieść o śmierci mej matki. Pośpieszyłem, by ją zobaczyć, a mój ojciec, złagodzony bólem, nie wzbraniał mi wejścia. Widziałem ją martwą. Łzy popłynęły z mych oczu...

W żałobie podążaliśmy za umarłą. Od tego czasu pozostałem w domu. Wówczas zaprowadził mnie ojciec po raz wtóry do swego ulubionego ogrodu. Ogród wydał mi się ohydny, lecz nie odważyłem się przemówić. Wtedy, płonąc z gniewu, ojciec ponownie zapytał, czy ogród mi się podoba. Drżąc — zaprzeczyłem. Wówczas ojciec uderzył mnie — a ja odszedłem. Po raz drugi zwróciłem me kroki w obce strony, wędrując z sercem pełnym miłości do tych, którzy nią wzgardzili. Przez długie, długie lata śpiewałem pieśni. Gdy chciałem wyśpiewać miłość — zmieniała się w ból. Chciałem znowu ból wyśpiewać — zamieniał się w miłość.

Tak rozdarty byłem przez miłość i ból.

I kiedyś otrzymałem wiadomość o śmierci pobożnej dziewicy, która niedawno zmarła. Jej grób otaczał krag, w którym wielu młodzieńców i starców poruszało się w wiecznej szczęśliwości. Mówili cicho, by nie zbudzić dziewicy.

Niebiańskie myśli wybiegały z grobu dziewicy, jak iskry spadając na młodzieńców, i wydawały przy tym łagodny szmer. Zatręknąłem wówczas za tym, by tam również przebywać. Ludzie powiedzieli, że cud tylko może mnie tam doprowadzić. Ale jak poszedłem w kierunku grobu wolnym krokiem, w skupieniu, i nim się spostrzegłem... znalazłem się w kręgu, który wydawał cudowny dźwięk. Odczułem, jak wypełnia mnie wieczna szczęśliwość. Zobaczyłem ojca, kochającego i już pogodzonego. Płacząc zamknął mnie w swoich ramionach. Ja jednak płakałem bardziej.

LEON SCHILLER

SMUTNA FOTOGRAFIA

Na wielkiej scenie sofijskiej Teatru Narodowego dobrzemiewał chór zaduszny, kończący czwartą odsłonę *Dziadów*. Właśnie miałem śpiew przerwać, aby przegrupować statystów, gdy nagle poczułem, że ktoś stanął za mną i jakby chciał mi coś powiedzieć. Nie obejrzałem się, lecz nie zdążyłem wejść na pomost sceniczny, bo sekretarz poselswa naszego zatrzymał rękę i powiedział: „Smutną pan będzie miał dzisiaj próbę — umarł Karol Szymanowski”. Westchnąłem tylko: „Mój Boże” — zarządziłem przerwę i usiadłem w dalszym rzędzie foteli, aby zrozumieć, co się stało, i choć na cka мгновение wskresić w pamięci tego, co pewnie teraz już „mija szczyty i drogę tuie piorunem”.

Nie wstydziłem się przed samym sobą spokoju mojego, gdym się dowiedział o odejściu człowieka, którego uwielbiałem, z którym los pozwolił mi kilkakrotnie wspólnie myśleć i pracować nad jego utworami przeznaczonymi dla sceny.

Gdy o takich rzeczach myślałem patrząc na pustą scenę, na której w półmroku majaczyły szkielety dekoracji, przypominało mi się, że już kiedyś tak było — siedziałem z Karolem w drugim czy trzecim rzędzie krzesel zapatrzony w dogasający czar teatru... Za nami Ryszard Bolesławski — obok Drabik... Już wiem, to było w Teatrze Polskim w maju 1920 roku po premierze *Mieszczanin szlachcicem* które to widowisko kończyło się baletem pt. *Mandragora*. Wszysey odnieśliśmy wielki sukces, Karol oczywiście — największy. Gdy zrodził się pomysł takiego zakończenia komedii molierowskiej, zakładano się ze mną, że Szymanowski zamówienia nie przyjmie. Przede wszystkim nie chce i nie umie pracować na zamówienie; po wtóre, komponuje wolno, instrumentację retuszuję bez końca, a widowisko musi być zmontowane w ciągu trzech tygodni; po trzecie, nie zna teatru, teatr mało go interesuje, a tu chodzi o lekką, swawolną groteskę, która mają odegrać i odtańczyć aktorzy — Ohawy były płonne. W ciągu kilku godzin ułożyliśmy w trójkę, Szymanowski, Bolesławski i ja, kanwę w stylu włoskich komedii improwizowanych; wieczorem tego samego dnia wręczyłem Karolowi dokładny scenariusz z drobniagowymi i adnotacjami reżyserskimi, a nazajutrz otrzymaliśmy już jedną czwartą część całości i mogliśmy rozpocząć próby grając z mokrych niemal nut. Parę dni później partytura *Mandragory* była gotowa. Ku niepomierzemu zdziwieniu zauważyłem, że kompozytor zastosował się ściśle do wszystkich moich dezyderatów i informacji reżyserskich, że muzyka pokrywała się z akcją w stu procentach i że celem jej było wyłącznie wykonanie sceniczne, nie koncertowe. Wszyscyśmy wtedy powitali w tej czarownej błahostce narodziny wyborowego muzyka teatru. Publiczność i krytyka nie chciała wierzyć, że to małe arcydzieło wyszło spod pióra Szymanowskiego, taki hold w nim złożył on melodii, takim tryskało humorem, tyle w nim było prostoty i sentymentu. Wałce na motywach pozytywkowych osnute, piosenki jakby z oper Belliniego cytowane, recitativa i „tempesty” parodystycznie przesadzone — wszystko brzmiało

rozrzucającą prymitywną radością. Mało kto zorientował się, jak kunsztowna jest ta prostota, jak drogocenny okrywa ją strój harmoniczny i instrumentalny.

Na dzień tego żartu muzyczno-scenicznego kryła się wspólna tajemnica. I Karol, i ja żywiliśmy szczególnie sentyment dla komedii dell'arte nie tej po tysiąc razy w różnych baletach i pantomimach podrabianej, lecz tej, z powodu której szaleli Carlo Gezzi i E. T. A. Hoffmann. W tym czasie mówiliśmy dużo o *Księżniczce Brambilla*; cóż to za temat do mistycznej opery-buffo — bezden poezji, boski chaos sprzeczności i nieprawdopodobieństw, i wszystko tu dzieje się dla ducha i za jego sprawą!

Codziennie po *Mieszczaninie* wsłuchiwaaliśmy się z Karolem i jego przyjaciółmi w to wdzięczne capriccio. Jego twórca czasem zamyślał się, czasem uśmiechał. Zdawało mi się, że już myśli o *Brambilla*, o tej niesamowitej komedii omyłek duchowych.

Często potem przychodził do Reduty, w czasach gdy wystawiałem tam misteria ludowe. Nikt lepiej od niego nie odcyfrował ich głębi, czy to gdy tała się pod rubaszną powłoką pieśni kantyczkowej, czy gdy surową nutą muzyki ludowej przemawiała, czy też gdy magią kantyku gregoriańskiego leczyła duszę.

Próba *Dziadów* po przerwie już się nie kleiła. Skończyłem ją, czym prędzej. Po drodze do hotelu zwróciły moją uwagę rozlepione duże klepsydry. To wszystkie organizacje i instytucje muzyczne w Bułgarii w ten sposób uczciły pamięć największego muzyka polskiego.

Przeglądając w hotelu fotografie, które w celu propagandy artystycznej przewiozłem do Sofii, znalazłem jedną bardzo smutną... Przedstawia czterech mężczyzn siedzących w fotelach teatralnych i zapatrzonych w scenę... To my — po premierze *Mieszczanina szlachcicem* i *Mandragory* w Teatrze Polskim!

Trzech już nie żyje — mnie tylko jednemu pozwolono jeszcze wałęsać się bez celu po milej ojczyźnie. Drabik umarł jako bezrobotny. Bolesławskiego wygryziono z teatrów warszawskich. Szymanowskiemu, zaledwie hymn *Veni Creator* do słów Wyspiańskiego napisał na otwarcie akademii muzycznej i zaczął w niej organizować najwyższe studia — ci sami panowie, którzy byli założycielami tej uczelni, zamknęli ją ni stąd ni zowąd, ku wiecznej hańbie swojej, pozbawiając wielkiego muzyka warsztatu pracy i środków do życia.

Mieszczanina szlachcicem grano we Lwowie i w Warszawie ostatnimi czasy bez *Mandragory*! (Rosyjsko-) polski balet reprezentacyjny nie ma jej w swoim repertuarze. Zdemolowana opera warszawska nie może wystawić ani *Hagith*, ani *Króla Rogera*, ani *Harnasiów*...

Bardzo smutna fotografia.

1938 rok